SKARB NR 5 ODNALEZIONY

Z radością melduję, że SKARB nr 5 został odnaleziony 1 sierpnia o godz. 8,30. W plastikowym woreczku znajdowały się następujące przedmioty: turystyczny komplet narzędziowy, zestaw do lutowania, mikrosilnik MS-3, finka, latarka elektryczna, lupa z rączką, gra „Pchełki", książka turystyczna i herb Warszawy. Skarb odnalazłem szybko, przy pomocy kolegi. Jesteśmy bardzo zadowoleni z sukcesu. Skarb wykorzystamy w naszym zastępie „Nieobozowego Lata".

Serdecznie dziękujemy i przesyłamy moc pozdrowień.

MAREK DĘBIŃSKI
z Czerwińska

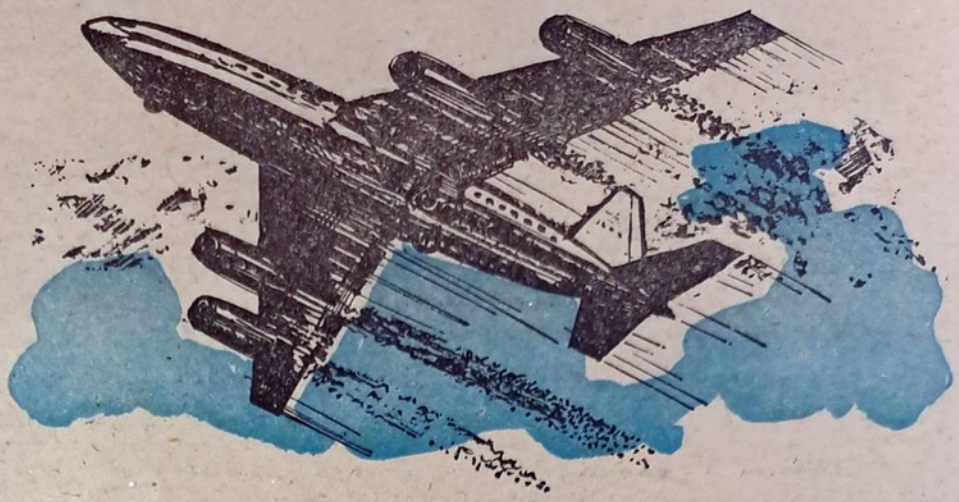

świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 64 (1638) Warszawa, piątek, 11 sierpnia 1967 r. Cena 50 gr

Mały Francesco POKONAŁ BARIERĘ śmierci

BYŁO upalne popołudnie, kiedy potężny odrzutowiec towarzystwa lotniczego Air Columbia wtoczył się na rozgrzany słońcem pas startowy lotniska w Bogocie. Obsługa naziemna portu lotniczego przystąpiła do wykonywania swych czynności przy maszynie. Pasażerowie zajmowali miejsca w samolocie.

Nikt nie zwrócił uwagi na drobną sylwetkę może piętnastoletniego chłopca, który w pewnym momencie zniknął pod potężnym kadłubem samolotu. Zręcznie, jak wiewiórka, wdrapał się po kole i ukrył na małej platformie w miejscu, gdzie chowa się podwozie.

Po kilku minutach odrzutowiec z pasażerami lecącymi do Panamy i Meksyku nabierał szybkości, aby po dwukilometrowym rozpędzie oderwać się od pasa startowego. Podwozie złożyło się, zamykając w komorze drobnego Francesco Garcię.

Wraz z nabieraniem szybkości i wysokości, poprzez szczeliny zaczął wdzierać się do kryjówki Francesca potwornie zimny wiatr, przenikając ciało chłopca. Na wysokości 2500 metrów Francesco zaczął drętwieć. Chłopak miał na sobie tylko koszulę i płócienne spodnie. Rozbolała go strasznie głowa, a każdy metr dodatkowej wysokości ogromnie utrudniał oddychanie.

Temperatura spadła do minus 30 stopni. Samolot był już na wysokości 10

(Dokończenie na str. 3)

KONCERT ŻYCZEŃ POD SOSNĄ

— Halo, jedynka! Halo, jedynka! Mówi trójka!

— Słucham jedynka. Przy centrali dyżurny Krzysztof Banach. Co się stało?

— Wszystko w porządku ale mamy do was prośbę. W najbliższym koncercie życzeń prosimy o nadanie piosenki Kasi Sobczyk dla Małgosi M.

— Zrobione! Tylko powiedz od kogo.

— Od Andrzeja.

W pół godziny później z megafonów zawieszonych na drzewach płyną wesołe melodie obozowego koncertu życzeń. Muzykę słyszą nie tylko harcerze z obozu w Sosnowicy nad jeziorem Czarnym, gdzie znajduje się radiowęzeł, ale również we wszystkich podobozach zgrupowania chorągwi lubelskiej. Sieć połączeń zbudował pluton techniczny pod nadzorem dh Grzegorza Kamińskiego. Tu w Sosnowicy zbiegają się wszystkie linie telefoniczne, tu również pracuje radiostacja, przy pomocy której chłopcy z plutonu utrzymują stałe połączenie radiowe z Komendą Chorągwi w Lublinie.

fot. St. Borowiecki

OSTRZEGAM NIEOSTROŻNYCH

W pobliżu mojej miejscowości niedawno utonął chłopiec, gdyż kąpał się w miejscu niestrzeżonym. Niech mój list będzie ostrzeżeniem dla innych. Słońce i woda nęcą. Woda to zdrowie, ale nie należyte korzystanie z niej, to śmierć. Kąpcie się więc, ale tylko pod opieką starszych i w miejscach strzeżonych!

Włodzimierz Krzyżanowski
z Kleczewa

OD REDAKCJI: Drukujemy ostrzeżenie Włodka. Alarm trwa! Minął zaledwie miesiąc wakacji, a prasa stale podaje nowe liczby ofiar nieostrożnej kąpieli.

Statystyka wypadków bije na alarm! W 1965 r. utonęło 429 dzieci. W ubiegłym roku liczba wzrosła do 561 wypadków.

Ile będzie w tym roku? Czy nadal my, ty, twoi koledzy będziemy pozwalać bezmyślnym na kąpiel w niebezpiecznych miejscach?

(rj)

Główny bohater naszego reportażu, pan Stefan Baryła z wnuczką.

Rozdział XV

Tędy przeszła wojna

MINĘLIŚMY Zagłębie Siarkowe, Machów, Tarnobrzeg, wreszcie Sandomierz, jedno z najpiękniejszych miast nad Wisłą, leżące na wysokiej skarpie Wyżyny Sandomierskiej.

Wpływamy teraz na najbogatszy odcinek Wisły: rzeka jest tu szeroka, pełna zakamarków, tworzy po obu stronach wielkie stawy, oddzielone od koryta kępami zarośniętymi wikliną. Stare wiśliska, czyli miejsca gdzie kiedyś płynął nurt, zamieniły się w szerokie bagna pełne ptactwa wodnego, szczupaków, sumów, bujnej roślinności.

Te piękne lecz dzikie i niedostępne tereny stały się w czasie II wojny światowej miejscem najkrwawszych walk. W lipcu 1944 roku na linii Wisły od Sandomierza aż po Warszawę — zatrzymały się wojska radzieckie i polskie, by potem wyruszyć do generalnego natarcia, które zakończyło się zdobyciem Berlina.

Rozdział XVI

Ci, którzy przeżyli

ROZMAWIAMY ze spotkanymi na wodzie rybakami, strażnikami wodnymi, robotnikami pracującymi przy budowie umocnień brzegowych. Są to ludzie z miejscowych wsi, chętnie nawiązują rozmowy, ale prawie każda z nich kończy się wspomnieniami z okresu wielkiej ofensywy. Nic dziwnego. Wsie i miasteczka w czasie wojny zostały tu dosłownie zrównane z ziemią. Wojska radzieckie w krwawych walkach zdobyły najpierw kilka przyczółków mostowych po lewej stronie Wisły. Potem przez mosty pontonowe, bombardowane bez przerwy przez lotnictwo niemieckie, dostarczano sprzęt i zaopatrzenie.

Niemcy wysiedlali wtedy wsie, palili je doszczętnie. Pan Władysław Chylak, strażnik wiślany, opowiedział nam, jak udało mu się uniknąć śmierci i w ostatniej chwili uciec z rodziną. Cały jego dobytek: dom, zabudowania, konie, krowy, kury, świnie — wszystko to poszło z dymem w ciągu kilku minut. Kto nie uciekł, ten zginął od bomb.

— Wszyscy mieszkaliśmy całą jesień i zimę w polu, w budach skleconych byle jak z patyków, niepewni, czy Niemcy pewnego dnia nie przyjdą i nie zabiją nas — opowiada pan Chylak. — Tak koczowaliśmy do stycznia. Kiedy Armia Radziecka przepędziła Niemców — wróciliśmy. Nasza wieś była jednym zbombardowanym pogorzeliskiem, nie ocalał nawet kawałek płotu...

Długo siedzieliśmy z panem Chylakiem nad Wisłą i słuchaliśmy jego wspomnień. Rzeka, niemy świadek tych strasznych zdarzeń, płynęła leniwie. Było cicho i spokojnie. Ziemia ta i woda pamiętają jednak wszystko i dla nich, tak jak i dla nas, wojna jest rzeczą ostateczną. Ale jeśli zostaniemy napadnięci — bronimy się wszystkimi dostępnymi nam sposobami.

Tak walczyła tutaj z Niemcami Gwardia Ludowa, postrach okupanta, zawsze gotowa do akcji, mająca swoich ludzi w każdej wsi, każdym przysiółku — a sympatyków w każdej wiejskiej chacie.

Rozdział XVII

Chotcza walczy

NA 342 KILOMETRZE WISŁY leży gromada CHOTCZA. Tu mieszkała partyzant Gwardii Ludowej, przedwojenny działacz Komunistycznej Partii Polski — pan **Stefan Baryła.**

Tereny te, zwane Nadwiślańską Dzielnicą Chotcza, już przed wojną były niespokojne. Granatowa policja miała tu specjalnie wzmocnione posterunki, ludzie burzyli się jednak coraz bardziej. Organizowano strajki flisaków i pracowników garbarń, działała Międzynarodowa Organizacja Pomocy Rewolucjonistom. Rozpoczęły się aresztowania, a że miejscowe więzienia były już przepełnione, transportowano więźniów do Radomia i Berezy Kartuskiej. Był wśród nich również pan Baryła, aresztowany za działalność rewolucyjną.

Nadeszła okupacja. Dawni działacze Komunistycznej Partii Polski i Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej znowu zaczęli się zbierać na tajnych zebraniach. Pierwszym zadaniem było zdobycie broni. O jednej takiej akcji Gwardii Ludowej opowiada pan Stefan Baryła.

Rozdział XVIII

Akcja na wyspie

NIEMCY budowali linię kolejową Radom-Lublin i na jednej z dużych wysp wiślanych postawili baraki z materiałami budowlanymi. Kolejną akcję postanowiliśmy przeprowadzić w tym właśnie miejscu, aby zdobyć broń. Na północy przeprawiliśmy się na małych łódkach przez Wisłę. Nie wszyscy nasi byli uzbrojeni, niektórzy szli z gołymi rękami. Był wśród nas jeden Ormianin, Turmanian Ajrapytowicz. Kiedy już w zupełnej ciszy otoczyliśmy baraki, on właśnie zawo-

dwaj na krypie

Zdjęcie to zrobiłem na podwórku jednego z gospodarstw: kura z kurczętami dookoła starego, hitlerowskiego hełmu, w którym dziś gospodyni karmi domowe ptactwo.

Za walkę z okupantem wieś Chotcza została odznaczona Krzyżem Grunwaldu II klasy. Krzyż prezentuje przewodniczący Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej pan Józef Zagożdżon, który pod koniec wojny miał 7 lat. Ale i on, choć był przecież w tym czasie dzieckiem, ma na swoim koncie nie lada wyczyn. Otóż udało mu się wyswobodzić ojca z niemieckiego obozu pracy! Pewnego dnia poszedł na widzenie za druty obozowe i przemycił swojemu ojcu w koszyku przebranie kobiece. Ojciec, przygotowany już i dokładnie ogolony, szybko przebrał się w jakimś kącie i wyszedł za bramę jako kobieta, prowadząc małego Józka za rękę! Nim się Niemcy zorientowali, ojciec i dwóch jego kolegów ukrył się w schowku wykopanym wcześniej pod podłogą w sieni. Tam ukrywali się przez kilka miesięcy, dopóki Armia Radziecka nie wyzwoliła tych terenów.

łał: — „poddajcie się, jesteście otoczeni". — I niech pan sobie wyobrazi: cały oddział ochrony się poddał bez strzału. Zdobyliśmy wtedy karabin maszynowy, 20 karabinów ręcznych, amunicję i granaty. Nikt z naszych nie zginął i to było najważniejsze.

Zresztą podobnych akcji było więcej. Robiliśmy na przykład zasadzki na statki niemieckie płynące po Wiśle. Zaczajaliśmy się gdzieś pod kępą, najczęściej późnym wieczorem i kiedy statek nadpływał, my na łódki i już jesteśmy przy nim. Niemcy oddawali kasę bez oporu. Wystarczyło ich postraszyć, wiedzieli, że z partyzantami nie ma żartów.

Po powstaniu PPR, w 1942 roku, przemianowaliśmy nasz Komitet na Komitet Dzielnicowy Nadwiślańskiej Polskiej Partii Robotniczej Chotcza. Byłem jego sekretarzem. Mieliśmy w tym czasie sporo roboty, gdyż było nas w Partii ponad 500, a w Gwardii Ludowej ponad 1000 członków. Na początku 1944 roku wydawaliśmy nawet własne pismo.

Rozdział XIX

Śmierć krążyła wokół n.ch...

AGDZIE PAN BYŁ w lipcu 1944 roku, gdy Armia Radziecka doszła do Wisły? — pytam.

— Byłem po prawej stronie rzeki. Załatwiałem spotkanie w Komitecie Puławskim. I tam już musiałem zostać. Zresztą, Chotcza przestała istnieć. Niemcy zbombardowali ją i nie pozostał tam kamień na kamieniu. Ja zgłosiłem się do Komitetu Centralnego PPR, który był wtedy w wolnym już Lublinie. Rozpoczęliśmy parcelację majątków. Kiedy dzieliliśmy ziemię napadano na nas. Bandy mordowały działaczy, urzędników, milicjantów, chłopów. Ale daliśmy sobie radę z bandami i zaczęła się wreszcie praca w pokojowych warunkach...

— Wiele więc było takich sytuacji, w których otarł się pan o śmierć, jak to mówią — o milimetry...

— Dla nas, komunistów i gwardzistów, takie sytuacje zdarzały się często. Na przykład granatowa policja miała dokładne listy przedwojennych działaczy komunistycznych. Szukali nas dzień i noc. Ukrywałem się przez pięć lat, krążąc od wsi do wsi, od przysiółka do przysiółka. Ludzie wiejscy nam sprzyjali, ileż to razy słyszałem: „Przyjdźcie jeszcze, prześpicie się, dostaniecie coś do zjedzenia". W tym czasie takie słowa i zwykły placek pieczony na blasze znaczyły więcej niż można sobie wyobrazić.

A potem partyzantka... To nie tylko była walka zbrojna, to także masa spraw organizacyjnych, praca polityczna, nawiązywanie kontaktów z nowymi ludźmi, organizowanie zaplecza, a więc: lekarstw, broni, amunicji, przyjmowanie zrzutów z zaopatrzeniem. Trzeba było być również dowódcą i prostym żołnierzem. Nie myślało się o śmierci. Ona była tuż koło nas, krążyła wokół, wyrywała co pewien czas któregoś z towarzyszy, ale walkę z okupantem trzeba było toczyć dalej. Walka ta była rzeczą najważniejszą.

— — — — — —

Pod wieczór opuszczamy bohaterską wieś Chotcza, odznaczoną za walki Krzyżem Grunwaldu II klasy, żegnamy się z panem Baryłą.

Płyniemy dalej na północ, przed nami jeszcze blisko 700 kilometrów Wisły. Kogo jeszcze spotkamy? Z kim i o czym będziemy rozmawiać? Cdn.

Tekst i zdjęcie
JERZY DĄBROWSKI

MOJE WYMARZONE WAKACJE

Kąpałam się w pianie na MARSIE

WŁAŚCIWIE nie wiem, jak ojciec to załatwił. Zaraz po obiedzie wpadł do mieszkania, pocałował mamę i powiedział:

— Tegoroczne wakacje spędzimy na Marsie, Agnieszko — zwrócił się do mnie — co to jest Mars i gdzie się znajduje?

Wiedziałam, więc oznajmiłam:

— Mars jest to czwarta, następująca bezpośrednio po Ziemi, planeta naszego Układu Słonecznego.

— Bardzo dobrze. Więc szykujcie się do drogi, bo jutro ruszamy. Pobudka o szóstej piętnaście.

I w taki oto sposób znaleźliśmy się na Krakowskim Rynku. Tłumy ludzi pomimo wczesnej pory oblegały Sukiennice. Mój starszy brat, Romek, szturchnął mnie w ramię i powiedział:

— Patrz, tam stoją te rakiety. Fajne, nie? Urywamy się?

Ale mama, która usłyszała te słowa, spojrzała na nas zaniepokojona i przybliżyła się. Gdy weszliśmy do rakiety, zrobiło się bardzo miło. W ławkach, takich samych jak w szkole, siedzieli ludzie — dzieci, staruszkowie. Od razu spostrzegłam moje 3 koleżanki: Menur, Alfę i Kingę oraz kolegów: Joja i Alinego.

Może te imiona wydadzą się wam nieco dziwne, ale był to rok dwutysięczny, a właściwie 1998, więc już wymyślano coraz to inne imiona. Po chwili zapłonęło zielone światło i rakieta bardzo lekko poszybowała w górę. Spojrzałam przez małe okienko i zobaczyłam Wisłę, Wawel i wiele ciekawych rzeczy. Na Marsa lecieliśmy 2 godziny. Gdy wysiedliśmy, podszedł do nas dziwny człowiek i przemówił do nas dziwnym językiem. Jedynie tato go zrozumiał. Unosząc się w powietrzu, wkrótce znaleźliśmy się pod potężną budowlą.

Blok ten oraz wszystkie inne zbudowany jest z gąbki. Nie będę opisywać całego wnętrza, bowiem jest ono tak komfortowe, że nie znalazłabym słów.

Gdy wyszliśmy z Romkiem na spacer, poznaliśmy chłopca imieniem Alfa-8, który pochodził z Wenus. Zamiast zażywać kąpieli w naszym Bałtyku, kąpałam się w pianie, fruwałam w powietrzu, i, co najważniejsze — opalałam się przy... Księżycu.

Tegoroczne wakacje były udane w 100 procentach. Jedno jest pewne: spędziłam je pożytecznie i ciekawie. Koleżanki w szkole zazdrościły mi pięknej opalenizny. (bs).

AGNIESZKA z Krakowa

Od Klubu Nastolatków

Przeczytaliście fantastyczny opis wymarzonych wakacji Agnieszki. Inne nastolatki również przysłały nam swoje literackie próbki na temat wakacji. Najciekawsze będziemy od dziś drukowali. A teraz, przenieście się na stronę ósmą! Danka zaprasza na bal do Wiednia, w roku 1882.

MAŁY FRANCESCO POKONAŁ BARIERĘ ŚMIERCI

(Dokończenie ze str. 1)

do otwartego luku. Tylko najwyższe napięcie siły pozwoliło mu utrzymać się w tej „kabinie".

Samolot wylądował w Panamie, lecz Francesco nie opuścił kryjówki. Chciał za wszelką cenę dolecieć do swojej ojczyzny, Meksyku. Wiedział, że za chwilę przeżyje znowu te wszystkie udręki — mróz i potworne uczucie duszenia się...

Odrzutowiec znów wystartował, wzniósł się na 10 tysięcy metrów, znowu mróz doszedł do 39 stopni. Na pół żywy Francesco leciał nad Hondurasem, Gwatemalą, na wysokości, gdzie nie latają już nawet ptaki. Wreszcie samolot wylądował w rodzinnym mieście chłopca — w Meksyku. Francesco nie wiedział jednak, że znajduje się już na tysięcy metrów. Francesco, dusząc się z braku tlenu, zaczął jednocześnie zamarzać. Stracił przytomność.

Zaczął wracać do siebie, kiedy odrzutowiec schodził do lądowania. Ziemia zbliżała się z zawrotną szybkością. Podwozie wysunęło się, a gwałtowny wiatr wciągał chłopca

swej rodzinnej, upragnionej ziemi. Mechanicy znaleźli go nieprzytomnego, ręce i nogi miał odmrożone, ale żył. Natychmiast odtransportowano go do szpitala.

Zdumienie lekarzy nie miało granic. Organizm wątłego chłopca zniósł niezwykle przeciążenie, potrafił przystosować się do nieludzkich warunków lotu. Przecież bez hermetycznej kabiny piloci latają tylko do wysokości 3 tysięcy metrów, a zaledwie niektórzy, i to po specjalnym treningu, odważą się na krótkie loty na wysokości około 6 tysięcy metrów. Odczuwają jednak brak tlenu, który powoduje zakłócenia w funkcjonowaniu organizmu, zawroty głowy, krwawienie z ust, przejściową ślepotę. Francesco ustanowił, wcale o tym nie wiedząc, niezwykły rekord — wytrzymał cztery godziny na wysokości 10 tysięcy metrów!

Zapytacie teraz, co zmusiło tego meksykańskiego chłopca do tak szaleńczego czynu? Czemu ryzykował on swoim życiem? Otóż Francesco, w poszukiwaniu pracy, znalazł się przed dwoma laty w stolicy Kolumbii, Bogocie. Kiedy ciężka i nędznie płatna praca skończyła się, chłopiec nie miał pieniędzy na powrót. Zarobki bowiem ledwie starczyły mu na skromne utrzymanie. Zdecydował więc, że musi w jakikolwiek sposób wrócić do ojczyzny. Wybrał sposób najtrudniejszy, najbardziej niebezpieczny. Tylko wyjątkowo odporny organizm chłopca pozwolił mu pokonać barierę śmierci.

(Opr. j. k.)

super sam

W TYM SĘK

NIE POTRZEBA wyjeżdżać nad morze, aby opalić się na oliwkowo — to pewne, bo słońce wszędzie świeci jednakowo. Niekoniecznie trzeba być w Opolu, aby uczestniczyć w festiwalu piosenki.

Na jednym z warszawskich podwórek jest dużo nastolatków. Nie zachowują się oczywiście cicho jak baranki, ale nie myślcie, że ten hałas przeszkadza komukolwiek. Wręcz przeciwnie, zachwyceni mieszkańcy spędzają w oknach długie godziny. Powstał bowiem podwórkowy zespół piosenkarzy, który skupił najbardziej utalentowanych. Instrumentów zabrakło, ale to nie stanowiło przeszkody.

Piosenki różne. Od najstarszego „Zielonego mosteczka", co to ciągle ugina się i rośnie na nim stuletnia już chyba trawka — do najnowszego „Trzynastego", który nie jest już tak pechowy jak kilka lat temu.

I wreszcie zdecydowano się. Zorganizowano podwórkowy Festiwal Piosenki. Widzów było dużo, niektórzy z nich zajmowali wysokie loże, bo aż na szóstym piętrze. Artyści zdobyli uznanie i oklaski.

Najważniejsze w tym wszystkim jest jednak to, że nastolatki zrobiły to SAME! I co wy na to?

(wk)

SZEF SUPERSAMU

PODWÓRKOWE ZAWODY

Nasz PODWÓRKOWY KOMITET organizuje zawody lekkoatletyczne dla uczczenia Ewy Krzesińskiej (znanej rekordzistki świata w skoku w dal, złotej medalistki na Igrzyskach Olimpijskich w Melbourne).

W zawodach wystąpi pięciu zawodników w sześciu konkurencjach: biegu na 100 metrów, trójskoku, skoku w dal, rzucie oszczepem, rzucie kulą i rzucie dyskiem.

Dotychczasowe nasze rekordy przedstawiają się następująco: 100 m — 13,8 sek, trójskok — 9 m 10 cm, skok w dal — 4 m 50 cm, rzut oszczepem — 29 m, rzut kulą — 10 m 50 cm, rzut dyskiem — 22 m.

Wyniki te powinniśmy poprawić.

Sprzęt do wszystkich konkurencji zrobiliśmy sami, bądź też zakupiliśmy we wspólnie uzbieranych pieniędzy. (wk)

Alojz, Józek, Zdzich, Adam i Janek
Skoczów pow. Cieszyn

WAKACYJNA POCZTA POLOWA

SZYBCIEJ! DALEJ! WYŻEJ!

Ja i moi koledzy nie wyjechaliśmy na wakacje. Mimo to nie nudzimy się. Najwięcej wolnego czasu poświęcamy na organizowanie zawodów sportowych, ale nie wiemy, czy wyniki, jakie osiągamy, są dobre.

Władek Gach
Gilewice 7
pow. żywiecki

DROGI WŁADKU!

Podajemy Ci wyniki osiągnięte przez najlepszych czwórboistów, na finałowych zawodach w Szczecinie i życzymy Ci dalszych przyjemnych dni wakacyjnych spędzonych na wycieczkach i grach sportowych, oraz treningach lekkoatletycznych...

...A oto tabelka:

Bieg na 60 m	Barbara Janowska — Tomaszów Maz. — 8,0 sek.
	Józef Kotowicz — Grudziądz — 7,5 sek.
Skok w dal	Anna Szewczyk — Gdańsk — 503 cm.
	Andrzej Przybysz — Hajnówka 561 cm.
Skok wzwyż	Anna Szewczyk — Gdańsk — 142 cm.
	Roman Wojciechowski — Warszawa — 165 cm.
Rzut piłeczką	Elżbieta Gutowska — Bartoszyce — 51 m.
	Henryk Głowacki — Milków — 73,3 m.

OKUPACYJNE WSPOMNIENIA TRESERA P S Ó W

Finka

PALĄCĄ POTRZEBĄ stało się wreszcie wyszukanie dla suczki jakiegoś imienia. Spróbowałem wołać na nią: Aza, Diana, Dora, Iedu — nie reagowała wcale. Kiedy nazwałem ją Finką, spojrzała na mnie bystro i zamachała ogonkiem. Tak więc została Finką.

Ale na ulicy czekało na mnie ogromne rozczarowanie. Suka z miejsca uciekła ode mnie i w żaden sposób nie dawała się przywabić. Widocznie przypomniała sobie wczorajsze przeżycie na ulicy. Olle w sklepie była bardzo miła i ufna w stosunku do mnie, po prostu chodziła za mną krok w krok, o tyle na ulicy zachowywała się jakbym był dla niej zupełnie obcym człowiekiem. Co więcej: uciekała ode mnie, jeśli patrzyłem w jej kierunku. Zmartwiłem się.

W bramie próbowałem ją znów przywołać, ale też skutku. Nie pomogły nawet rzucane kawałki chleba. Zrezygnowany wszedłem do sklepu i zająłem się śniadaniem. Wtedy dopiero usłyszałem skrobanie do drzwi i ciche skomlenie. Wpuściłem ją, ucieszona wbiegła do pracowni, przywołana pozwoliła się głaskać. Jednym słowem: powtórna metamorfoza. Nakarmiłem ją jak zwykle, opatrzyłem blizny i zamknąłem w przygotowanym schowku.

Co przyniósł Jurek z lasu?

KTOREGOŚ DNIA poszedłem do Jurka. Pracował właśnie. W pewnym momencie, kiedy nachylił się, dmuchając na ogień w piecu, zdrętwiałem. W prawej kieszeni jego spodni rysował się wyraźnie kształt pistoletu. „Szpicel... czy głupi ryzykant?" — pomyślałem.

— Jurek... — powiedziałem do niego, nie wiedząc czy nie popełniam głupstwa, które mnie może drogo kosztować — spluwę praktycznie jest nosić w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Wyprostował się momentalnie. Zmieszany, zaczerwieniony, nie wiedział, co z sobą począć. Patrzyłem mu w oczy, myśląc: „Niech się dzieje, co chce".

— Widzi pan... — zaczął przerywanym głosem — kilka dni temu Niemcy zastrzelili na ulicy mojego brata. Ja przyniosłem rewolwer po to, żeby pan nauczył mnie obchodzić się z bronią. Pan był na wojnie...

— Skąd to masz? — zapytałem.

— Znaleźliśmy z kolegami w lesie pod Rembertowem. Mamy tego kilkanaście sztuk. Są i granaty...

— Daj, ja to schowam. A po zamknięciu sklepu pogadamy...

Wieczorem wróciliśmy do porannej rozmowy, w wyniku której już od następnego dnia po zamknięciu zakładu, zjawiał się w pracowni pojedyńczo młodzi chłopcy 15—16-letni. Każdy z nich przynosił z sobą za pazuchą po kilka pistoletów, amunicje i granaty. Uczyłem ich konserwacji i obchodzenia się z krótką bronią. Po tygodniu nasz oddział „Orlików" powiększył swój stan do liczby trzydziestu młodych zapaleńców. Na Brackiej odbywały się zbiórki dowódców sekcji, reszta „wojska" szkolona była w prywatnych mieszkaniach. Opracowaliśmy regulamin zachowania się na wypadek wejścia Niemców, sposoby pukania, hasła itp.

Któregoś popołudnia zwołałem swoich chłopców na zbiórkę. Tematem kolejnej lekcji było działanie ręcznego karabinu maszynowego, który chłopcy znaleźli kilka dni temu w lesie i przynieśli oczywiście do mnie.

W pracowni rozłożyłem go na części, wtedy usłyszeliśmy alarmujące szczekanie psa ze sklepu.

Finka zaczyna pracować

PANIE ALEKSANDRZE — usłyszałem rozpaczliwy krzyk mojego szefa — co to za pies? Gryzie!

Na wypadek alarmu, mieliśmy dawno omówione i przećwiczone wszystkie czynności. Bez słowa więc odszedłem do sklepu. Przy drzwiach z wystraszoną miną stał właściciel opędzając się teczką od napastliwie atakującej go Finki. Rozdarte w kilku miejscach spodnie świadczyły o tym, że suka swoją służbę wartowniczą traktowała jak najbardziej serio.

— Skaleczył mnie łobuz. Skąd on się tu wziął i dlaczego ja nic o tym nie wiem? — zawołał szef.

— A, bo dopiero Jurek go przyprowadził — odpowiedziałem, uspokajając psa. — Wydaje mi się, że chociaż to żadna piękność, ale...

— Dobrze, już dobrze, ale przecież to niemożliwe, żebym ja nie mógł wejść do swojego sklepu, kiedy chcę...

— Zapozna się z panem, a na razie będzie praktyczniej, jeśli będzie pan pukał. — Proszę... już jej nie trzymam, a nie szczerzy zębów do pana. Zupełnie spokojna.

Jeszcze coś burczał na temat zniszczonego ubrania, nędznego wyglądu psa, ale widać było, że czujność i agresywność Finki zaimponowała mu.

Od tego momentu nasze zebrania w sklepie przerwaliśmy na jakiś czas. Broń została dobrze zakonserwowana, zawinięta w naoliwione szmaty i ukryta w

koksu.

Finka przez kilka dn
niła się nie do pozna
brała linii, jednym sł
zupełnie ładnym piesk
łem przed szefem, v
z pracownikami bieg
zakładzie.

Wszyscy bardzo ją l
kiem, a ja uczyłem ją
sztuczek.

ABY KAŻDY ZNALAZŁ MIEJSCE WŚRÓD NAS

KLUB nastolatków

W PIERWSZYCH dniach miesiąca wysłałem do klubu pozdrowienia z kolonii. Była to niedziela, a już w poniedziałek znalazłem się w szpitalu w Leśnicy k/Opola. Jestem chory i dlatego piszę o swojej grupie. Okazało się, że nowo poznani na kolonii koledzy są bardzo dobrzy. Była to grupa I i zarazem najstarsza na kolonii.

Kiedy odjeżdżałem do szpitala przyszli się ze mną pożegnać. Obiecałem, że napiszę do nich. Tak też zrobiłem. W kilka dni otrzymałem odpowiedź.

Znałem ich zaledwie cztery dni, więc tym bardziej jestem im wdzięczny za pamięć.

Czuję się już lepiej, dotąd nie miałem wesołych wakacyjnych przygód, ale znalazłem wspaniałych kolegów. Długo będę o nich pamiętał. (rj)

STANISŁAW GRODZKI
Szpital w Leśnicy

PRZED WYJAZDEM na obóz myślałam, że znajdę bliską koleżankę, z którą będę mogła porozmawiać. Ale się pomyliłam. Już pierwszego dnia zaczęli się ze mnie śmiać i przezywać. Żadna z moich szkolnych koleżanek, znajdujących się na obozie, nie zwróciła uwagi złośliwym i nie starała się wyjaśnić przyczyn mojej nadmiernej otyłości. Chociaż jeszcze ze szkoły wiedziały, jak działa na mnie przezwisko „Gruba".

Rzeczywiście jestem otyła, powodem tego jest dawna choroba, przebyta 10 lat temu. Lekarze mają nadzieję, że wyzdrowieję. Diagnoza specjalistów podtrzymała mnie na duchu, przestałam się przejmować.

Teraz jednak nie mogę znów znieść uwag. Nieraz marzę, aby znaleźć takie koleżanki, które przynajmniej zrozumiałyby moją sytuację. Marzenia moje, niestety, nie spełniły się, dotąd nie mam takich koleżanek. (rj)

JANKA z Warszawy

W PIERWSZYM miesiącu wakacji przebywałam na koloniach w Jurate, nad morzem.

Na ognisku zapoznawczym zostałam wybrana przewodniczącą samorządu. Wśród chłopców z najstarszej grupy znajdował się nasz rówieśnik. Niestety, chłopiec był głuchoniemy.

Zauważyłam, że niektórzy dokuczają mu i nie chcą się z nim bawić. Postanowiłam zareagować, zwołałam naradę samorządu. W trakcie rozmowy ustaliliśmy, że Henryk przejdzie do młodszej grupy. Bardzo się z tego ucieszył.

Jego nowi koledzy mieli w nim starszego przyjaciela-pomocnika. Henryk świetnie majsterkuje, wykonał dla grupy kilka ślicznych koszyczków z sitowia. Budował im wspaniałe latające latawce. Chłopcy ogromnie go polubili. (rj)

VIOLETTA BIELIŃSKA
z Zagłębia

KLUB NASTOLATKÓW otrzymuje każdego dnia sporo listów z obozów, kolonii i od tych, którzy spędzają wakacje w domu. Czy od Ciebie też już przyszła korespondencja? Czy znalazłeś swoją wakacyjną przyjaźń?

---

piwnicach, pod zwałami

i pobytu w sklepie zmie-
nia. Zaokrąglila się, na-
owem zaczęła stawać się
lem. Już jej nie ukrywa-
więc po zapoznaniu się
ała swobodnie po całym

ubili i dokarmiali ukrad-
nowych, coraz to nowych

Okazała się bardzo mądra i chętna do nauki. Przede wszystkim lubiła nosić w pysku rozmaite przedmioty. Szybko nauczyła się szefowi wręczać listy, przynosić od niego z gabinetu polecenia na karteczce do mnie, do kasjerki, czy do majstra w pracowni. A że przy tym w stosunku do obcych była nieufna i bardzo dobrze pilnowała całego zakładu, nic też dziwnego, że szef, skąpy z natury, przynosił jej codziennie z restauracji smakowite kąski.

Umiejętności Finki i jej charakterystyczne zachowanie się na ulicy wobec mnie (na co zwróciłem specjalną uwagę) znalazły wkrótce zastosowanie w innej dziedzinie. W pracy konspiracyjnej.

Pierwsze poważne zadanie

PEWNEGO DNIA usłyszałem na ulicy strzały. Najpierw ciche, rewolwerowe, potem odezwał się karabin i wreszcie zaterkotały serie z pistoletu maszynowego. Ulica momentalnie opustoszała, zostali na niej tylko żołnierze z karabinami wycelowanymi w okna narożnego domu. Kilka cywilnych osób w momencie rozpoczęcia strzelaniny schroniło się do sklepu. W młodym, bladym mężczyźnie z trudem rozpoznałem swojego kuzyna Witka, który mieszkał właśnie w domu otoczonym przez Niemców.

Dałem mu znać, żeby poszedł za mną w głąb sklepu, gdzie mogliśmy porozmawiać swobodnie.

— Masz coś z tym wspólnego? — zapytałem, pokazując oczami w stronę ulicy.

Skinął głową.

A potem sięgnął ręką pod płaszcz i wyciągnął rulon zwiniętych, zadrukowanych kartek, ulotek.

— Schowaj to — powiedział. — A dobrze, żeby nie znaleźli...

Na ulicę tymczasem zajechały auta gestapowców.

Wpadli do narożnego, pilnowanego domu, przeprowadzili rewizję. Wreszcie wyprowadzili kilka osób do auta, potem wynieśli i wrzucili do ciężarówki zastrzelonego mężczyznę. I odjechali.

Witek chciał iść do domu, nie puściłem go jednak:

— Poczekaj, tam może być pułapka, spróbujemy najpierw upewnić się. Przecież Finka była ze mną parę razy u was w mieszkaniu. Poślę ją do ciotki z kartką.

Wyszliśmy na podwórze, tam dałem Fince do pyska kartkę, a przy bramie na Nowogrodzkiej szepnąłem jej:

— Zanieś, Fineczka. Naprzód!

Na wynik eksperymentu z psem oczekiwaliśmy z niecierpliwością.

Zanosiła liściki w sklepie do rozmaitych osób, ale do ciotki samodzielnie jeszcze jej nie wysyłałem. Czy suczka zrozumie, o co chodzi? Czy potrafi dostać się do wnętrza mieszkania?

Po kilku minutach wybiegła na ulicę, ale zamiast zbliżyć się do mnie, jak zwykle poszła obwąchiwać drzewka. Zniecierpliwiony zacząłem ją przywoływać, ale jak zwykle bez skutku. Dopiero kiedy weszliśmy z Witkiem na klatkę schodową, wbiegła po jakimś czasie za nami i stanęła przy mnie.

— Pokaż... masz coś?

Położyła mi na dłoni małą w czworo złożoną karteczkę. Ucieszyłem się. To była inna kartka.

„Na klatce schodowej szpicle ścigali jakiegoś mężczyznę — pisała ciotka. — Zaczął strzelać. Gestapo zrewidowało wszystkie mieszkania, zabrali parę osób, u nas nie znaleźli nic. W domu jestem sama".

— Wspaniały pies — powiedział Witek — może nam się jeszcze przydać. Moje pakunki niech tu zostaną. Przyjdę do ciebie jutro po zamknięciu sklepu, jeszcze z kimś. Porozmawiamy.

C. d. n.

ALEKSANDER KUŁAGO

Rozdział XII

Co z nami będzie, Ewo?

Rys. St. Rozwadowski

NIECH MI MAMA da nareszcie święty spokój! — Ewa trzasnęła drzwiami, aż zabrzęczały szyby i wybiegła z mieszkania. Trzęsła się ze złości i oburzenia. „Choterny dom, niechby się zapadł! Już dłużej nie wytrzymam z takim życiem!"

Oczywiście mama dowiedziała się od sąsiadek o wycieczce do lasu, o awanturze zrobionej Tomkowi przez matkę po wizycie Lewandowskiej, o ich skandalicznym zachowaniu. No i oczywiście było kazanie, przeplatane łzami, szlochy, spazmy, krople na serce, cała opera!

— Ty mnie do grobu wpędzisz, nie mam już sił, taki wstyd, będą cię palcami wytykać jak najgorszą!

„Do diabła, czego ci ludzie chcą od nas! Cośmy takiego zrobili? Gdyby mama wiedziała, co wyprawiają chłopcy z podwórza. Misiek, Ślusarz i Saksofon to lepsze ananasy, a nikt się nimi nie zajmuje, nikt się ich nie czepia. Wszyscy wiedzą, że odkąd skończyli te siedem klas i siedzą w domu, nic nie robiąc, bo uczyć się dalej nie chcieli, a do pracy też im się nie spieszy, odstawiają takie numery aż skóra cierpnie. No i co? Każdy mówi — co mnie to obchodzi, nie będę cudzych dzieci wychowywał, od tego są rodzice albo milicja. A dlaczego? Dlatego, że się po prostu boją tych chuliganów!

Raz jeden student, który wynajmował pokój u Różyckiej, dał Ślusarzowi po karku za to, że dokuczał jakiemuś pętakowi z sąsiedniej kamienicy. Ślusarz nic, wycofał się po cichutku, a na trzeci dzień studenta zabrało pogotowie. Wracał późnym wieczorem do domu i ktoś go napadł na ulicy. Wszyscy się domyślali, że to sprawka Ślusarza i jeszcze któregoś z „kozaków", ale wszyscy siedzieli cicho, żeby się nie narażać.

Było śledztwo, dzielnicowy łaził po mieszkaniach, rozpytywał, figę się dowiedział i umorzył sprawę. Student wyszedł ze szpitala i już nie wrócił do Różyckiej. Zmienił mieszkanie. A mnie będą palcami wytykać za to, że byłam z Tomkiem na wycieczce i burza nas złapała w lesie! Można się wściec! I jeszcze ten Tomek!"

Ewa zwolniła kroku, rozejrzała się. Nawet nie zauważyła, kiedy dobiegła aż tutaj, na ulicę Świerczewskiego. Fontanna przed dworcem była czynna, bryzgi wody przyjemnie chłodziły rozpaloną twarz.

„Udał, że mnie nie widzi, przeszedł z zadartą głową — przypomniała sobie wczorajsze spotkanie z Tomkiem na schodach — a dziś kiedy zderzyliśmy się prawie w drzwiach sklepu, popatrzył tak jakbym była trędowata!"

Ewa ze złością kopnęła puste pudełko zapałek leżące na bruku.

„Wszystko przez Szefa — pomyślała z goryczą — powiedział mu o długopisie i teraz Tomek uważa mnie za podłą małpę. Nic dziwnego zresztą. On myśli, że stroiłam słodkie minki tylko po to, żeby go wrobić, żeby Szef dostał go w swoje ręce". Ewa czuje rumieniec na twarzy. Nie ma co udawać, tak było. Wcale nie miała ochoty zawiązywać bliższej znajomości z Tomkiem. Należał do innego świata, był za gładki, za uprzejmy, za delikatny. Cacuś, eleganckil

Gdy kłamała, że potrzebuje pieniędzy, gdy prosiła go o sprzedanie „prezentu", odczuwała nawet coś w rodzaju satysfakcji. Niech Tomek nie będzie taki ważny, niech mu się nie zdaje, że jest lepszy od innych tylko dlatego, że ma zawsze czyste paznokcie i wyszczotkowane włosy, że ustępuje miejsca w tramwaju starszym osobom i nigdy nie zapomina powiedzieć „przepraszam" i „dziękuję".

Tak było z początku. Potem... potem trochę się wstydziła, a jeszcze później polubiła Tomka. Naprawdę. Nie tak jak lubiła Szefa, Lampę czy Ślusarza. Tamci byli jej potrzebni, trzymała się ich trochę ze strachu, trochę dlatego, że wnosili do nudnego życia emocję, przygodę, niespodziankę. Zresztą trzymała się „paczki" także i na złość mamie, nauczycielom, wzorowym koleżankom. Gdyby wiedzieli!

Ewie wydawało się, że jest znacznie mądrzejsza, bardziej doświadczona od tych głupich dziewcząt, które w szkole mówiły tylko o odrabianiu lekcji, o stopniach, co najwyżej o sukienkach i flirtach.

„Co one wiedzą o prawdziwym życiu" — myślała lekceważąco i patrzyła z góry na dobre uczennice, które nie miewały dwój ani dostatecznych, które wyrywały się pierwsze do tablicy i które stawiano innym za przykład i jej także. To był jej odwet za marne stopnie, za nieporządne zeszyty, za ciągłe uwagi i skargi nauczycieli.

Ewa ruszyła przed siebie ulicą Świerczewskiego. Zapadł zmierzch, rozbłysły kolorowe neony, skropiony polewaczkami asfalt lśnił i odbijał światła lamp i reklam.

„Z Tomkiem koniec — pomyślała z żalem — nigdy już nie odezwie się do mnie. I słusznie. Wciągnęłam go w potworną sytuację. Podobno z początku odmówił przechowania teczki, stawiał się, potem dopiero zmiękł. Gdyby wiedział, co go jeszcze czeka... Na razie Szef odłożył robotę, bo do państwa Zyberów przyjechała jakaś kuzynka z Warszawy i teraz więcej przesiadują w domu. Ale to potrwa jeszcze tylko kilka dni".

Ewa skręca w prawo. Drażni ją tłum zalegający ulicę Świerczewskiego. Chce być sama.

Jaki śmieszny — Ewa przystanęła i spojrzała w niebo — myślał, że nie czułam, kiedy pocałował mnie we włosy...

Prawdę mówiąc, w pierwszej chwili Ewa była rozczarowana, że tak siedzą sami w lesie, przytuleni i nic. Szef albo Misiek zachowaliby się inaczej. Ale potem... to było takie przyjemne to nieśmiałe głaskanie włosów... I jaki był zmieszany, bał się spojrzeć na nią. Głuptas!

Nagle Ewa przypomina sobie jakieś dawne opowiadanie matki. Śmiała się w domu, gdy matka wspomniała pierwsze spotkanie z ojcem, spacery w ogródku, altankę obrośniętą krzakami jaśminu, śpiew słowika. Uważała, że mama jest staromodna, że te wszystkie historie z księżycem, kwiatami to wymysły starych, dobre w wierszach albo w sentymentalnych piosenkach. Ona, Ewa, jest inna. Teraz nagle przypomniała sobie, że taki wieczór spędzony z Tomkiem na ławeczce, wśród zapachu jaśminów mógłby być przepiękny... Mama opowiadała, jaka była zmieszana i wzruszona, kiedy ojciec pierwszy raz ją objął i pocałował. Ewa śmiała się z tego. Bzdura! Wiele razy całowała się z chłopcami i nie czuła ani zmieszania ani wzruszenia. Dopiero teraz, gdy pomyślała, że Tomek mógłby...

Do diabła z Tomkiem i do diabła z sentymentalnymi wspomnieniami mamy! Stoi tu na ulicy jak głupia i roztkliwia się! Może jeszcze będzie płakać za Tomkiem? O, co to, to nie! Tomek nie chce jej znać? W porządku, obejdzie się cygańskie wesele bez marcepanów!

Gang z ulicy Brzeskiej

17

STANISŁAWA PLATÓWNA

„On mnie nienawidzi" — myślł Ewa i czuje, że za chwilę rozpłacze się głośno, jak małe dziecko. A tak się ładnie wszystko zapowiadało. Z Tomkiem czuła się zupełnie inaczej niż z innymi chłopcami. Z początku trochę ją śmieszyła jego nieśmiałość i delikatność. Nie przywykła do takiego zachowania. Chłopcy z podwórza byli zupełnie inni. Przyzwyczaiła się do ich głupich żartów, do ordynarnych zaczepek i aluzji. Myślała, że wszyscy chłopcy są tacy. Dopiero w czasie burzy... Jak on się troszczył o nią, jak ją uspokajał, jaki był cierpliwy i wyrozumiały... A potem, w szopie... Czuła wdzięczność, że mogła przytulić się do niego, że mogła zapomnieć o strachu.

Nie będzie przecież uganiać za tym chłopakiem i narzucać mu się!

Ewa idzie szybkim krokiem, zła na siebie, na Tomka, na cały świat. Już jest na ulicy Kościuszki, mija Prądzyńskiego, wchodzi na Brzeską. Zbliża się do swojej kamienicy. Nagle... ktoś odrywa się od ciemnego muru, zastępuje drogę. To Tomek!

Ewa zatrzymuje się. Co teraz będzie? Uderzy ją? Zwymyśla?

— Muszę z tobą pomówić — słyszy głos Tomka — chodźmy na skwerek.

Ewa idzie posłusznie za chłopcem i czuje, że serce zaczyna jej bić szybko, coraz szybciej.

Cdn.

„Świat Młodych"

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 1052, T-38

Adres redakcji WARSZAWA ul. Mokotowska 24

Widok na trasę W-Z i tunel od strony Wisły. Z prawej strony tunelu widać wejście prowadzące na ruchome schody.

Zagadka RUCHOMYCH SCHODÓW

KAŻDE NIECODZIENNE urządzenie budzi zrozumiałe zainteresowanie. Tak jest na przykład z ruchomymi schodami. W Polsce są one jeszcze rzadkością i dlatego postanowiliśmy przedstawić je dokładnie, „od podszewki".

Pomysł zbudowania schodów samobieżnych jest bardzo stary. Pierwszy patent na prototyp ruchomych schodów złożony został w roku 1898, a więc blisko 70 lat temu. W dwa lata później, na światowej wystawie osiągnięć w Paryżu (z okazji tej wystawy zbudowano również wieżę Eiffla), jej organizatorzy ogłosili konkurs na konstrukcję ruchomych schodów. Wynik przeszedł wszystkie oczekiwania — na konkurs wpłynęło około 30 różnych konstrukcji „poruszających się schodów do transportu ludzi". Najlepsze rozwiązanie (w ogólnych zarysach przypominające współczesne konstrukcje) przedstawiła amerykańska firma „Otees".

Poruszające się schodki tworzyły już równe, poziome płaszczyzny, wygodne i bezpieczne podczas wchodzenia i schodzenia z transportera. Ten szczegół konstrukcyjny jest najistotniejszym rozwiązaniem współczesnych ruchomych schodów. W momencie gdy stopnie zbliżają się do najwyższego lub najniższego odcinka schodów, wysokość stopni zmniejsza się równomiernie, aż w końcu tworzą równą biegnącą płaszczyznę.

Prosty mechanizm

W jaki sposób stopnie schodów zamieniają się w płaszczyznę, i odwrotnie, jak ta płaszczyzna przekształca się w schody? Wyjaśnimy to przy pomocy rysunków.

Każdy stopień jest oddzielnym wózkiem na czterech kółkach (rys. 1). Dwa z nich pełnią rolę podstawową, a następne dwa kółka — pomocniczą. Każda para kół porusza się po specjalnym torze szynowym, tzw. prowadnicy. Stopień-wózek jest tak skonstruowany, że płaszczyzna stopnia zajmuje zawsze pozycję poziomą, niezależnie od tego czy para kół podstawowych znajduje się wyżej, czy niżej w stosunku do pary kół pomocniczych. Wyjaśnia to kolejny, drugi rysunek. Tam, gdzie stromy odcinek schodów przechodzi w poziomy, przednia para kół wózka zmienia kierunek ruchu na poziomy, podczas gdy tylna para kół ciągle jeszcze zachowuje kierunek poprzedni. Ta właśnie krzywizna toru powoduje, że stopień-wózek zmienia płynnie swoją wysokość. Schody przekształcają się w równą płaszczyznę.

Przy wejściu na transporter jest odwrotnie. Najpierw biegnie pozioma płaszczyzna, z której dopiero na krzywiźnie przechodzącej w pochyłość, „wyrastają" stopnie schodów.

Schody ruchome buduje się w różnych rozmiarach, przy czym konstruktorzy kierują się kryterium — ile osób mieści się na jednym stopniu. Jeżeli projekt przewiduje tylko jedną osobę na jeden stopień, wówczas jego szerokość wynosi 50 lub 60 cm. Takie schody znajdują się np. w Centralnym Domu Towarowym w Warszawie.

Przy szerokości schodów 100—120 cm, na jednym stopniu mogą jechać dwie osoby. Schodów dla trzech osób na jeden stopień w ogóle nie buduje się, ale nie dlatego, że byłaby to trudność techniczna nie do pokonania, lecz ze względów bezpieczeństwa. Osoba stojąca po środku nie mogłaby się po prostu trzymać poręczy.

Biegnąca poręcz

RÓWNOLEGLE ze schodami porusza się gruba taśma stanowiąca oparcie dla rąk. Krawędzie jej zagięte są do środka (rys. 3). W ten sposób zabezpieczona jest przed ewentualnym spadnięciem. Taśmę poręczy wprawia w ruch górne koło napędowe, natomiast jej naciąg zabezpiecza specjalne urządzenie z ciężarkiem (rys. 4). Poręcz tworzy za pomocą systemu bloków zamkniętą pętlę (rys. 5). Jeden z tych bloków jest ruchomy. Jego oś połączona jest linką z ciężarkiem, który utrzymuje taśmę w stałym naprężeniu. Taśma poręczy, jak również stopnie schodów, poruszają się po zamkniętym torze — nigdzie się nie zaczynają i nigdzie nie kończą.

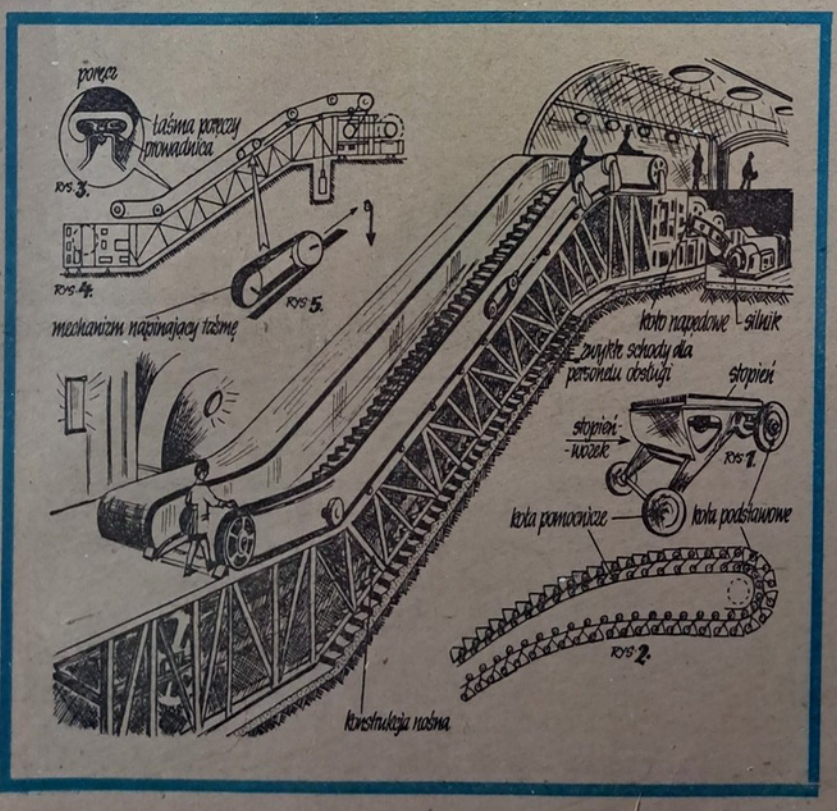

Najdłuższe schody świata

MIMO że schody ruchome pojawiły się w Związku Radzieckim dopiero w roku 1935 (37 lat po ich wynalezieniu), inżynierowie radzieccy stali się dziś najlepszymi specjalistami w tej dziedzinie. Skonstruowali oni najdłuższe schody świata, transportujące bez przesiadki pasażerów na wysokość lub głębokość aż 65 metrów. Ruchome schody w moskiewskim, leningradzkim i kijowskim metro pracują niezawodnie. W ciągu godziny przewożą około 50 tys. ludzi. Szybkość poruszania się ruchomych schodów w metro wynosi od 0,7 do 0,9 m/sek.

Warszawskie schody na trasie W-Z lub w CDT są oczywiście mniejsze, ale i one świetnie spełniają swoją rolę, ułatwiając życie tysiącom ludzi.

STANISŁAW BOROWIECKI

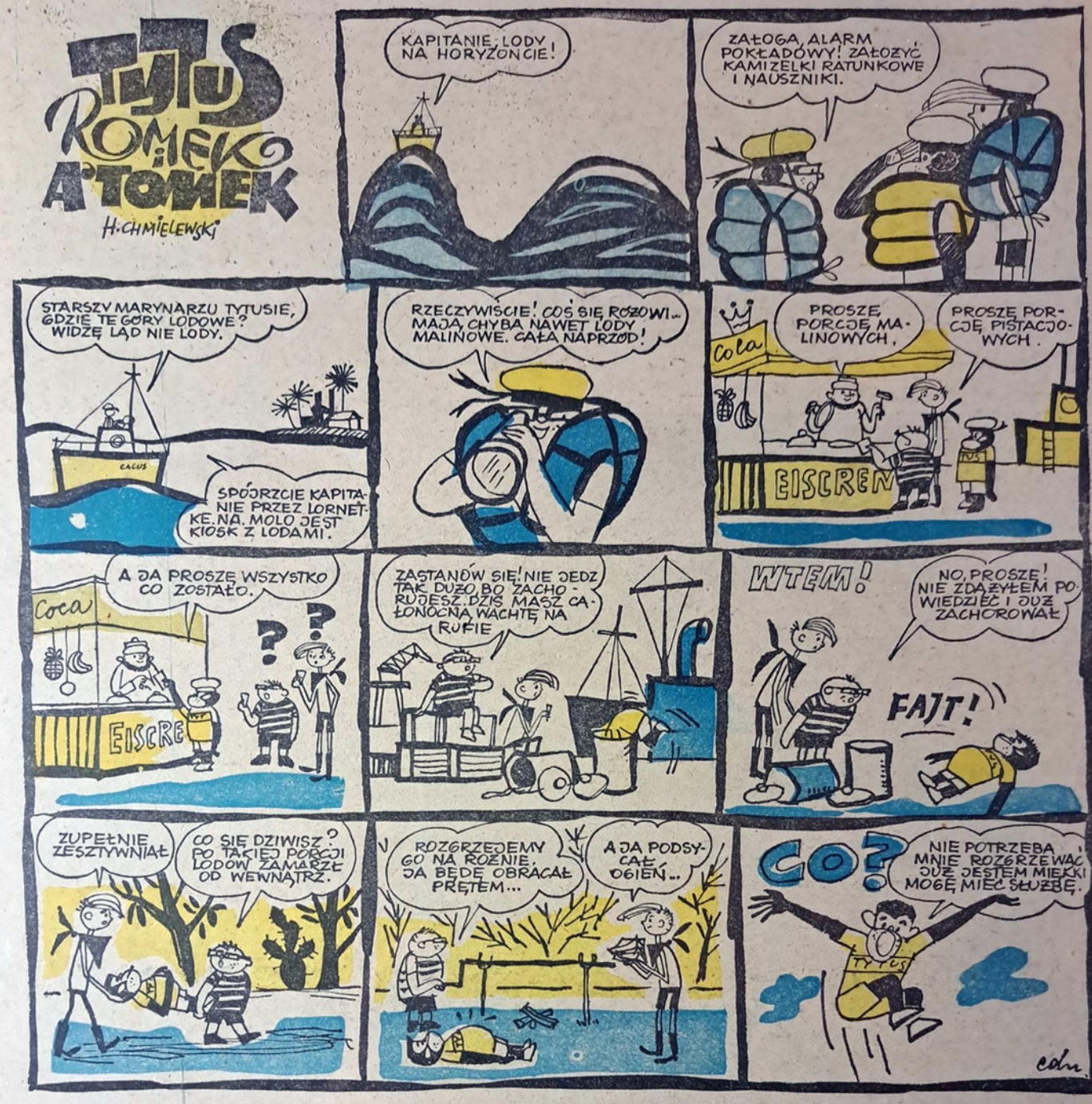

JESZCZE TRZY TYGODNIE

Każdy inaczej spędza wakacje. Czy są udane — wiele zależy od fantazji, wyobraźni. Na przykład ci nasi młodsi czytelnicy na pewno się nie nudzą jako „wopiści". Przed wami jeszcze prawie jedna trzecia wakacji. To bardzo dużo! Pamiętajcie o dobrym humorze i o tym, żeby każdy różewnik znalazł miejsce wśród was.

Foto St. Borowiecki

Klub Nastolatków prezentuje wymarzone wakacje Danki

W KRAINIE WALCA

JEST LIPIEC 1882 r. Moje pierwsze po ukończeniu szkoły wakacje spędzam w Wiedniu. Mieszkamy z ojcem w hotelu, w pobliżu parku. Upalny lipiec sprawił, że prawie codziennie wychodzę z ojcem i Ringo na spacer, popatrzeć na Dunaj. Ringo — to przemiły pudelek, który tak samo jak ja pokochał Wiedeń, walca i Dunaj. Do naszych spacerów często dołączał się rodak, pan Edward.

Wiedeń to dla mnie najpiękniejsze miasto świata, to prawdziwe królestwo walca. Tu przecież po raz pierwszy walc przedostał się na sale balowe i zdobył je szturmem.

Dziś jestem najszczęśliwszą dziewczyną, ojciec obiecał mnie zabrać na bal. Wieczorem spotkam się z Janem Straussem — królem walca.

Jest już godzina czwarta, a o szóstej rozpocznie się bal. Ubiorę moją najpiękniejszą suknię, uszyta jest z białej mory i ozdobiona białymi różami. Ilekroć myślę o walcu, zawsze kojarzy mi się on z bielą, dlatego dziś na mój pierwszy bal włożę białą suknię. Będę miała najpiękniejszy „pierwszy bal", bo w stolicy walca. Ach, Wiedeń, Wiedeń!

Lecz oto wchodzi ojciec.

Schodzimy po schodach do salonu. Jest już wielu ludzi. Rozglądam się po sali. Pierwszy mały zawód: nie przybył rodak z Krakowa. Ale oto największy, który psuje do reszty mój humor: nie przybył również Jan Strauss. Siadam na kanapce, jestem zupełnie sama, ojciec rozmawia ze znajomymi.

Nagle zaczynają grać walca „Nad pięknym, modrym Dunajem". Jest mi raźniej, bo czuję obecność Straussa, bo on i walc to przecież niemal jedno. Wirujemy po sali. Teraz widzę, jak wchodzi na salę pan z brodą i wąsami, wszystkie oczy zwrócone są na niego... To Strauss — jednak przybył. Płyną melodię walca, moje wymarzone wakacje się spełniły. (rj)

DANUTA PIŁAT
SOPOT (rok, oczywiście, 1967!)